№ 38.

Dziennik domowy.

Próżno się na polu wadzisz,
Jeśli doma nie uradzisz.
REJ Z NAGŁOWIC.

ROK 1840. Poznań, dnia 23. Września.

DZIENNIK DOMOWY, poświęcony życiu domowemu, familijnemu i towarzyskiemu, wychodzi raz na tydzień, w objętości jednego arkusza, do którego przydaną jest rycina mód paryzkich, wraz z opisem. — Przedpłata wynosi na pół roku talarów 4, na ćwierć roku talarów 2, i przyjmuje się po wszystkich królewskich urzędach pocztowych, tudzież księgarniach krajowych i zagranicznych.

Miejsce rodzinne.

Ach! więc wszystko minęło!...
DZIADY IV.

(Dokończenie.)

»Uspokój się drogi cieniu!« mówił po chwili łzę ocierając — »twoja wola spełnioną będzie; czyż nieuczyniłem ślubu od lat najmłodszych, że tam kamienną ławeczkę postawię z napisem: Ach! jak mi tu dobrze! i posadzę do koła róże, coby kwitły do późnéj jesieni i owiewały cień twój, ilekroć tę ustroń nawiedzisz!... Uspokój się; téj myśli serdecznéj nieodgadłaby żadna wróżka, gdyby była panią ogrodu. A ty odwieczna lipo, świadku życia i śmierci najdroższéj matki — witaj mi! przychodzę dawne śluby ponowić.« — Księżyc ukrył się w chmurze, on chciał uklęknąć, i nadeptał krzak róży... »jakaś dobroczynna ręka już zasadziła, dzięki i za to.... szukajmy teraz, czy żyje moja ławeczka z darni?«

Zdzisław pociemku, jakby mu chodziło o skarby świata, macał około siebie, gdy w tém: »O Boże! krzyknął — kamień! napis!...« i palce drżące wodził po wyżłobionych literach w kamieniu: Ach!... jak... mi... tu... dobrze!...

»Zosia! nikt tylko Zosia!« powtarzał w zapale — »nikt, jak ta dziecina wypielęgnowana pieszczotami méj matki — nikt jak oblubienica twéj duszy, spamiętała tajemnicę, urzeczywistniła poezyą spomnień... — Kobieto! najwyższa istoto w sferze uczuć!...«

Po tym pierwszym wylewie, czyli apostrofie do niewidzialnéj czarodziejki — ukląkł, oczy podniósł ku gwiazdom i wśród przerywanych westchnień powtarzał: »Cieniu matki! syn dopełnił twéj woli, wlewając ślub swój w serce, co go tak wiernie spełniło; spływajże teraz po promieniu najjaśniejszéj gwiazdy, na któréj mieszkasz, rozmawiaj z nami poezyą każdego wieczora, a znowu stanę się czystym, niewinnym, jak wtedy, gdy świat i wszystkie nadzieje zamykałem w twojém objęciu!...«

Po téj gorącéj modlitwie, pomieszany, szalony prawie, chciał obces wpaść do dworu, rzucić się do nóg Zosi; bo Zosia tam być musi, wszystkie przeczucia mówią mu, że jest blisko niego, a przynajmniéj, że jéj myśl czy wola włada w tych miejscach — lecz w oknach migające się światła, pomieszane głosy ludzkie, psów naszczekiwania — wstrzymały go, zaczął się wahać — z natury bowiem był nieśmiały i cokolwiek dziki, a najbardziéj nielubił świadków swoich romantycznych uniesień — wreszcie ochłódł i zaczął rozmyślać: »Skądżeby Zosia? jakaż tu pewność? Zosia? przecież zawsze na Ukrainie przy swojéj matce, i nikt mi niedonosił, aby miała tutaj się przenieść?!... Miałażby nabyć na dziedzictwo? trudno! majątek jéj taki szczupły, taki powikłany.... W sąsiedztwie też nieznam nikogo, coby się tém mógł zająć — z miłości dla mnie... Alfons nawet nigdy tu niebywał. — Głupieję! Głupieję!...«

Tak rozmyślając skradał się szpalerem bzu tureckiego; rozkwitłe kity ociężałe rosą, jak balsamem chłodziły mu skroń rozognioną, a słowik w bliskim krzaku wiązał do serca jego swoje melancholijne struny, na których rzewną pieśń dzwonił. — W téj uroczystéj chwili przesilała się dusza młodzieńca, zrzucając z siebie wszystko nieczyste, czém mogła nasiąknąć w wirze zepsucia; było to przejście z trawestowanéj Eneidy życia miejskiego, do naiwnéj sie-

lanki; uznanie Boga i miłości, odbitych jak w zwierciedle — w naturze.... Krótko trwało to wstrząśnienie ducha; ale dosyć, aby pokryło ruinami gmachy próżności, egoizmu, przesytu i czczości.

»Oto narożnik, w którym był niegdyś sypialny pokój moich rodziców — tam stało i moje wązkie łóżeczko, gdziem usypiał snem anioła, gdzie mię kołysało i budziło pocałowanie matki... Ta akacya posadzona przy mojém urodzeniu, teraz wyrosła w drzewo, i gałęźmi zasłania mi okno... Otwarte!... O! zaglądnę do środka, czy téż to samo obicie zostało? ten marmurowy kominek? te na suficie Amorki w obłoku i ta Wenus ciągniona przez parę Amorków....?«

I tak przyczajony, gdy się podsuwał i podnosił głowę, aby nasycić swoją ciekawość, brzękła gitara i głos niewieści zanucił piosenkę — zatrzymał się, słucha — przypomina: znana dumka, z nią się wychował, ona z nim jeździła po świecie i nitką wlekła obrazy rodzinne. Więc wszystko, wszystko powitało go naraz!...

»To Zosia!...« krzyknął Zdzisław, ale krzyknął jak ten, co się we śnie pasuje z widziadłem — w głębi piersi; — chciał wskoczyć oknem — ale tylko krew nim rzuciła, jak we śnie. — Więc puścił w głąb pokoju słuch ostry, widzący, czujący, głęboki.... Cóż znaczy ów śmiech głośny i gruby z wtórem cieńszego? co znaczy rozmowa tam, wewnątrz?

»Brawo! brawissimo! Moja pani zupełnie uleczona — kończ ją, kończ duszeczko, tak pięknie zaczęłaś...«

»Niedobry! podłuchać mię....«

»Nibyś to niewiedziała filutko, że o ścianę siedzę i lulkę palę?«

»Choćby... jednakże przez delikatność...«

»Z téj strony niezasługuję na wyrzut — powiedz, kiedyż sprzeciwiałem się twojéj woli, kiedym jéj nieodgadywał, kiedym nieuiszczał wszystkich twoich marzeń...?«

»Trafniéjbyś powiedział: kaprysów... prawda, prawda mój luby, że żaden małżonek niezrobiłby tego, coś ty uczynił.... ale to już ostatek, już się poprawię... i zobaczysz, że odtąd niebędę miała innéj woli, tylko twoją — a teraz, abym ci dowiodła....«

Tu znowu zabrząkła gitara i dumka odśpiewaną została od początku do końca jasnym i pewnym głosem.

»Bosko! prześlicznie! dajże za to buziaka...«

»Psujesz bo mię kochanie — gdybyś był więcéj gdérał, strofował, a mniéj ulegał, może byłabym do tego czasu rozsądniejszą żoną.«

»A niechże Bóg broni! prześladowaniem wywołałbym opozycyą, i nigdy niebyłoby końca.«

»I to prawda, że twoje dogadzanie moim fantazyom, tak mię odmieniło, że sama się często niepoznaję. Czy pamiętasz, jak za pierwszy warunek naszego połączenia położyłam, aby koniecznie nabyć tę majętność — wiedziałam, żeś niebogaty, i umyślnie podsunęłam trudność, którą miałam za nieprzełamaną; a tymczasem — któż opisze moje podziwienie! za kilka dni przynosisz mi kontrakt nabycia...«

»Wtenczas, ho! wtenczas, w pierwszym szale miłości, żebyś na księżycu kazała mi dobra kupować, byłbym kupował...«

»Nieudawajże téj oziębłości, mój lubku, czyż dawne czasy jak zapragnęłam to dzikie sadzisko zamienić w ogród angielski — ledwie ci tylko opowiedziałam mój plan, co jeszcze sięgał marzeń dziecięcych, jużciś zaraz sprowadził ogrodnika i wszystko czarodziejskim prawie sposobem jednéj wiosny postwarzał?... Ulubionéj méj dumki najdłużéj jednak niechciałam ci śpiewać, i zawsze zamykałam się przed tobą, lecz odtąd niech będzie na twoje usługi — piękne mi ona przypomina czasy, stémwszystkiém teraźniejszość piękniejsza....«

»Ha! ha! ha!« rozśmiał się mężczyzna — »awidzisz gołąbko moja, metoda homeopatyczna najlepsza na chorobę miłości... klin klinem. — Co téż to było korowodów z panią — mój Boże! inny byłby uciekł na koniec świata, ale mnie nic nieustraszało, nawet owo często powtarzane: „szacuję pana, poważam, chcę go mieć przyjacielem" — ani owe gorsze przycinki: „jest ktoś, coby mi niedał się smucić; ktoś, coby mię zabawił; co ładniéj tańczy; co dowcipniéjby to powiedział; coby życie swe oddał; z kim dusza poślubiła się od kolebki — ideał — półbożek;" a tymczasem ten ideał, półbożek....«

»Ach! nieobwiniaj go! kto wie, ile on tam cierpi! a mnie zawsze wyrzut pozostał, że mogłam zdradzić dziecięce śluby...«

»Zdradzić?! To był czyn rozsądku, moja duszo; jakiéjże przyszłości należało się spodziewać z człowiekiem, co tak długo ani wspomniał o tobie?...«

»Byłabym czekała, czekała, ustatkowałby się, dotrzymał, wrócił....«

»I byłby cię znalazł starą panną... ha! ha! ha!«

»Fi donc, monchèr — parodyjesz najtkliwsze obrazy poezyi.«

»Bo i cóż po niéj w małżeńskim stanie, gdzieśmy ją zamienili w piękną rzeczywistość. — Mów Zosiu, czegoż ci brakuje do szczęścia?...«

»Czego?...« a po długiém milczeniu — »figlarzu! wykradłeś mi wszystkie sny i marzenia, któremi lubiłam rozogniać moją wyobraźnię, lub się rozczulać niemi jak Werterem, i teraz niemam do czego tęsknić i wzdychać, chyba....«

»Mów duszo — cóż chyba?«

»Widzieć Zdzisława, i pokazać mu, jak jestem szczęśliwą.....«

— »Oto go masz przed sobą!!...« — mógł był Zdzisław wskakując przez okno zawołać; a twarz jego wybladła, włos rozczochrany, oczy dzikie obłąkaniem, byłyby sprawiły nielada coup de théâtre; jakież dopiero pomieszanie małżonków, jakie wyrzuty, co mdłości, co wykrzykników! — Szczęściem, czy nieszczęściem, nic podobnego niezaszło; bo służący wniósł w téj chwili świecę do pokoju, zamknął okno przed komarami — a zawiedziony kochanek doszedłszy z rozmowy węzła wszystkich zagadek, opuścił ręce, zachwiał się i bez czucia upadł na murawę.

Nie bez czucia, owszém, nerwy go tylko zawiodły; gdyż serce objęte nieokreślonym bólem, ściskając się, wyrzucało z siebie wszystko, ku czemu dotąd najgoręcéj biło, przez strumień łez obfitych, palących — a on wciąż, jak samobójca własnych uczuć i spomnień, drażnił te żądła, aby jeszcze głębiéj się wpiły, rozdzierał, ranił, aby nic z tylu ułudzeń niezostało.... i znalazł ulgę — podobnie jak dzwon, co przez małą rysę wydaje głos chrapliwy; powiększysz ją, a zabrzmi czysto i dźwięcznie.

Księżyc wysoko wybieżał na niebo, kiedy Zdzisław zbudził się z serdecznéj walki — dokoła była cisza głęboka przynajmniéj dla niego, chociaż noc majowa śpiewała hymn swój niepoliczonemi odgłosy.... Zdało się, że odtąd zaczął epokę nowego bytu: harmonię grających sił natury, miał przenieść na grające życie ludzkości, miłością, jaką tchnął dla drzew i kwiatów, pokochać równe sobie istoty; niewinną dziecka prostotę zachować dla wielkiéj przyszłości....

Mocna wola już się maluje w obliczu młodzieńca, co tak dziwnie naraz zmężniało — spokojność nawet połyska z jasnego, otwartego czoła — powstaje — chce odejść, jakby tu nic niestradał — lecz stanął... darujcie mu tę słabość ostatnią! — Zdzisław nieprzemógł jéj, spiął się na okno, zajrzał... — w kącie komnaty tliła lampa nocna, rzucając niestały odblask na łoże małżonków.......

»I ja tak mógłem być szczęśliwy! ale widno, że mi Bóg inną drogę naznaczył!...«

Zaiste, kto po stratach tylu dostrzegł palec boski kreślący mu wysoki cel w pielgrzymce żywota, ten jeszcze wszystkiego niestradał — w takiém sercu niewygasło wszystkie ciepło — to ogród angielski, po którym choć burza przejdzie, wyłamie i wytłoczy — z czasem znowu zarośnie i zazieleni bogatém liściem; gdy przeciwnie umysł zużytego człowieka bywa jak postrzygany ogród francuzki, co z laty tylko suchemi pokrywa się gałęźmi.

Przebiegając szybkim krokiem miejsca pamiątek, tylko raz westchnął, kiedy koło lipy przechodził, inne nawet skinieniem głowy nieżegnał.

»Oto wybiła ostatnia godzina mojéj przeszłości« — mówił opuszczając ogród. — »Tam na dolinach mgła się podnosi — to nowe życie; historya świata także mgłą się zaczęła....«

Już było dobrze z północy, kiedy Zdzisław niecierpliwą pięścią walił w źle spojone tarcice wrót karczemnych.

»Zaprzęgaj! Zaprzęgaj!«

Żydek mruczał: że jeszcze nieświta — przeklinał i dziwił się. Niebawem jednak poturkotała bryczka i skryła się za pagórkiem. — Zdzisław, który ciągle patrzał w uciekające za nim miejsce rodzinne, nieobracał się już więcéj. —

Nazajutrz powóz pocztowy niósł go napowrót w cudze kraje. — Znajomi i przyjaciele, niewiedząc o wyjeździe, niedziwili się powrotowi, tylko coraz częściéj szeptali między sobą: »Co się Zdzisławowi stało? wcale z niego porządny człowiek!....« — A niewiedzą, ilą on stratami tę pochwałę okupił!...

W Maju 1840.

L. S.

Kilka ustępów

z najnowszéj powieści J. Kraszewskiego:

CAŁE ŻYCIE BIEDNA.

(Dokończenie.)

W podanych kilku ustępach poznaliśmy życie w Złotéj-Woli, zegar rozrządzający zatrudnieniami, powtarzającemi się codzień jednakowo, Annę ulegającą ciotce, z jéj woli idącą za mąż za p Mateusza, cierpiącą i nieszczęśliwą w pożyciu małżeńskiém. — Daléj skreślił pan Kraszewski mistrzowską ręką charakter Balabanowicza, z którego porady pani Dorota tylko kilkadziesiąt tysięcy złotych zamiast wioski ofiarowała w posagu p. Mateuszowi. Niedosyć na tém, pan plenipotent przekonał wkrótce ciotkę o złych zamiarach Mateusza, czyhającego rychłoli zawrze powieki, by po niéj odziedziczyć majątek. Urażona ciotka i ujęta fortelami swego plenipotenta idzie za

mąż za niego, i zapisuje mu cały swój majątek. Tu rozpoczyna się właściwa walka domowa, Mateusz rzecz naprawia i pochlebia ciotce, a plenipotent staje się tyranem względem swéj dawnéj pani. Z interesu własnego uwalnia ciotkę Mateusz z niewoli Bałabanowicza, ten zaś z majątku wyzuty, mści się na pierwszym, podmawia młodego awanturnika, by uwiódł Annę, a uwiedzioną mając w swéj mocy, rozpoczyna targi o Annę z Mateuszem. Pan Mateusz, po wielu wzbranianiach się, widząc własny interes w posiadaniu Anny, przystaje na warunki podane mu przez Bałabanowicza i obadwa ruszają do Anny, ukrytéj w domu leśniczego. P. Mateusz stanął w progu osłupiały, bo w izbie chaty widać było na tapczanie, zakrytym całunem, ciało Anny, uwinięte w bieliznę, przy niém paliły się świece, a mężczyzna jakiś klęczał i modlił się płacząc.

Byłto p. Teodor Ordęga, ów młody awanturnik — Anna w drodze umarła.

Taki koniec Anny, prawdziwie całe życie biednéj. Gdyby autor w końcu powieści niebył wprowadził wykradzenia Anny przez Ordęgę, byłby nam wystawił rzewliwszy, podnioślejszy jeszcze obraz Anny. Ale może uważał za rzecz potrzebną, aby przez to podłość Bałabanowicza i egoizm Mateusza tém wydatniéj przy końcu na wierzch się wybiły. Uważaliśmy już dawniéj, iż pan Kraszewski w tkliwości i rzewliwości scen przez siebie wystawianych wytrwać niemoże, zawsze do nich domiesza pewną śmieszność lub sarkastyczność, która efekt osłabia. Przystalibyśmy chętnie i na śmieszność i humor w takich razach, gdyby te przez swój kontrast wydatniejszemi czyniły cierpienia, niedolę, jak w sztukach szekspirowskich, ale tu, jak i w wielu innych płodach pióra p. Kraszewskiego, ta rzewliwość traci na swéj mocy, czyniąc przedmiot zasługujący na litość nieco śmiesznym lub stawiając go w przykréj, ironicznéj sytuacyi. To chcieliśmy wypowiedzieć o Annie w téj powieści, bo ona głównie w niéj całéj występuje i obudza interes i współczucie, gdy tymczasem wszystkie ją otaczające osoby, są mniéj więcéj powszedniego bitu figury, a dość silne, by pognębić biedną sierotę.

Układ całéj powieści jest naturalny i prosty, niemasz w nim żadnych węzłów gordyjskich, z którychby trudno dojść końca, a przytém tyle zajmujący w szczegółach, iż z największą przyjemnością całą tę powieść przeczytaliśmy. Jest ona nakształt zwierciadła, w którém się niejeden dom nietylko na Wołyniu i Podolu, ale i u nas w rzetelnym obrazie odbija. Na takich powieściach właśnie zbywało u nas dotąd, a lubo mamy kilka w tym rodzaju napisanych, to jednak te na pierwszeństwo zasługują przed innemi, które z pod pióra p. Kraszewskiego wypłynęły. Miło nam wyznać, iż autor, im daléj w lata, tém dojrzalszemi nas zaopatruje płodami, i dla tego tém więcéj pozyskuje zwolenników. — Spodziewamy się, iż przyjemność uczynimy sz. czytelnikom, jeżeli kilka tych rzuconych uwag zakończymy sceną humorystyczną, z téj powieści wyjętą, kiedy Bałabanowicz oświadcza swoją miłość pani podkomorzynie:

»Byłto wieczór, w pokoju pani podkomorzynéj paliła się na stoliku świeca pod umbrelką, psy spały na poduszkach, jéjmość włożywszy na nos okulary i odebrawszy młódki, zasiadała do maryasza z Bałabanowiczem, który utarłszy nosa i zwinąwszy chustkę w naleśnik, przysuwał sobie poufale krzesełko. Zegar w sieniach bił siódmą, służba była w kuchni, a Jan tylko jeden zasypiał na ławce i marzył o Anieli.

»Dziwi mnie to, Bałabanosiu,« rzekła ciotka rozdając karty, — »że pan Mateusz tak rzadko i coraz rzadziéj bywa w Złotéj-Woli.« — »Co pani chce,« odpowiedział biorąc karty plenipotent, — »to człowiek najniewdzięczniejszy! Nieumie on szanować pani i wygląda tylko co najrychléj sukcessyi!« — »Masz racyą Bałabanosiu, może to być,« rzekła podkomorzyna, — »ale tak się to ułożyło, tak to udawało konkurując, jakby co poczciwego, ty sam byłeś za nim.« — »Prawda to pani,« rzekł Bałabanowicz po cichu, — »ale teraz mnie nieoszuka. Widzę ja go przez skórę, jak drży niewdzięczny i wyciąga ręce po dobro mojéj dobrodziéjki, którego ja jak oka w głowie strzegę. Ach! dodał wzdychając, to mnie boli, że się to wszystko temu człowiekowi dostanie.« — »Masz racyą, Bałabanosiu, — ze czterdziestu! Dałam ci dublę! Ale cóż na to poradzić?« — »Co? ja tego nieśmiem pani powiedzieć.« — »Przecież, mój Bałabanosiu?« — »Prawdziwie, że tego niepotrafię powiedzieć — lękam się.« — »Niebójże się niczego.« — »Pani mogłabyś pomyśleć o zamążpójściu!« — »W imie Ojca! Czyś ty oszalał? A toż to pięćdziesiąt i — « — »A kto tam lata liczy!« odpowiedział prędko przerywając plenipotent. »A pani podstolina poszła za mąż w siedmdziesięciu, a pani szambelanowa miała ich pewnie sześćdziesiąt, kiedy po trzeci raz zawarła śluby! Wiadomo pani, że nie wiek starym czyni, ale niezdrowie. Dzięki Bogu, pani czerstwa jak rydz, zdrowa jak rybka i niewygląda na trzydzieści.« — »Pleciesz Bałabanosiu, pleciesz, ktoby zaś chciał się o mnie starać?« — »I wieluby się takich znalazło! Pani — « — »Pochlebnik z ciebie.« — »Toby dopiero była fimfa dla p. Mateusza,« mówił Bałabanowicz, — »bo on tak już jest

pewny sukcessyi, że radby moją dobrodziéjkę choć dziś widzieć na marach!« — »Ach! cóżto za szkaradny człowiek, mój Bałabanosiu!« — »Szkaradny pani! szkaradny! a chytry jak wąż! On to i mnie stara się ugłaskać, probując czy przezemnie nietrafi do pani; ale mnie nieprzekupi! Spędziwszy tyle lat, mam przywiązanie i wierność nienaruszoną dla tego domu i dałbym się zarznąć za moją dobrodziéjkę!« — »Poczciwy Bałabanosiu! bądź pewien mojéj wdzięczności! Poczciwy!« — »On tak tylko czyha, że wcześnie już porobił układy o dobra, które po pani na nich spaść mają.« — »Czyż to być może?« — »Tak jest! Wiem ja to z dobrych źródeł, całe sąsiedztwo wie o tém. Radbym szczerze, żeby mu pani odjęła nadzieję i wyszła za mąż.« — »Masz racyą, Bałabanosiu, ale właśnież to takie czasy, żeby kto chciał konkurować o mnie.« — Staruszka składała to na czasy, w istocie pochlebiała jéj myśl podana, ale próżno szukała sobie w głowie pary, nikogo znaleźć niemogła. Po trzeci już raz dawszy dublę, odezwała się: »Mówiłeś Bałabanosiu, że wieluby się takich znalazło, coby chcieli konkurować o mnie, a powiedzże mi choć jednego?«

Przyciśnięty argumentem ad hominem Bałabanowicz, chociaż przygotowany był nieco do tego pytania, sam niewiedział, jak na nie miał odpowiedzieć. Jednakże niezmieszany tak zaczął:

»Znam ja jednego.« — »Powiedzże mi Bałabanosiu! Któżto taki?« zawołała krygując się podkomorzyna. »Któżto taki? zmiłuj się.« — »Niewolno mi się z tém wygadywać,« odpowiedział ostrożnie plenipotent. — »Ale zmiłujże się, któżto taki?« z nową natarczywością zagadnęła pani Dorota. — »Kto, niemogę powiedzieć, ale go opiszę,« rzekł wywijając się zręcznie Bałabanowicz. »Jestto człowiek średniego wieku.« — »Średniego wieku! Któż tu jest średniego wieku?« — »Przyjemnéj postawy —« — »Przyjemnéj powiadasz —?« — »Dosyć przyjemnéj. Człek znany z uczciwości.« — »Z uczciwości! Któżby to taki?« — »Szlachcic, chociaż bez tytułu.« — »Bez żadnego tytułu?« — »Bez żadnego, ale o tytuł łatwo.« — »Masz racyą Bałabanosiu, jednakże —« — »Może go mieć na przyszłych sejmikach.« — »Niechże go ma.« — »Człowiek majętny, którvby mógł pokazać parę kroć czystego funduszu.« — »Parę kroć! a to dość!« zawołała podkomorzyna, — »myśmy się dorabiali z podkomorzym, a on i tego niemiał, kiedy się zemną żenił. Ale któżto taki, mój Bałabanosiu?« — »Chciałbym szczerze dogodzić w tém jéj woli, ale żadną miarą niemogę,« odpowiedział stary rozkładając karty. »Mogłabyś się pani na mnie i na niego gniewać.« — »Ale za cóż? mój Bałabanosiu. — Która to wybiła?« — »Pół do osméj.« — »Dopiero pół do osméj! Któżto taki?« — »Prawdziwie, że niemogę powiedzieć, bo się...« — »Bo co —« — »Bo — ale to się odkryje.« — »Ale ja chcę o tém zaraz wiedzieć!«

Podkomorzyna była naglącą, a Bałabanowicz wahając się jeszcze, rozkładał i składał karty, wykręcał perukę, wreszcie powstał, odstawił krzesło, stanął, otworzył usta i rzekł: »Ten konkurent, o którym mowa, jestem Ja!« To mówiąc upadł podkomorzynie do nóg, która ze strachu upuściła karty, porwała sie, odsunęła, i zawołała: »Ty śmiałeś! To ty! ty!« — »Ja, odpowiedział Bałabanowicz na klęczkach, — ja śmiałem, całe życie zbierałem fundusz, żeby go złożyć u nóg mojéj dobrodziéjki, z ofiarą serca i wierności długiemi latami dowiedzionéj, którą, która — któréj — —« Tu mu wątku niestało, a podkomorzyna przywykła do posłuszeństwa, walczyła z sobą, niewiedząc co począć. — »Jeśli mnie najnikczemniejszego sługę swego odrzucisz, pójdę, i zagrzebię się na pustyni« — rzekł. — »Ale na cóż na pustyni? Bałabanosiu?« zmiękczona szepnęła podkomorzyna, — »ale skądże ci ta myśl przyszła?« — »Karmię ją od lat dziesięciu!« — »W istocie?« — »To była jedna moja nadzieja.« — »A ja o tém nic niewiedziałam! Ale ty mówiłeś o parę kroć funduszu?« — »Ja go mam pani.« — »Skądżeś ty to wziął?« — »Z possessyi.« — »Masz racyą Bałabanosiu! — A gdzież szlachectwo?« — »Ja je mam.« — »Ale to być niemoże.« — »Mam wywód dokumentalny.« — »To być niemoże! to być nigdy niemoże!« mówiła podkomorzyna jakby sama do siebie, — »ty tyle lat byłeś sługą moim.« — »I zawsze nim będę, do śmierci.« — »Na cóż śmierci, Bałabanosiu? Ale skąd ci taka myśl przyszła?« — »Ja sam niewiem, pani.« — »Wstańże już, wstań, ludzieby mogli nadejść, nieklęcz dłużéj! Cóżeś ty powiedział! toby całkiém pomieszało porządek, toby było nieprzyzwoitém.« — »Tyle podobnych bywało przykładów, że —« — »Nigdybym się tego niebyła spodziewała!« mówiła ciągle podkomorzyna, jakby sama do siebie, i zdjęła okulary, odsunęła karty, chodziła zamyślona, Bałabanowicz stał jak na węglach. — »Niechcę ja mówić za sobą, przerwał po chwili, — ale przypomniałbym pani niewdzięczność tego p. Mateusza, którego warto ukarać —« — »Masz racyą — jednakże! Coby to ludzie gadali!« — »Ludzieby mówili, żeś pani dobry wybór zrobiła, wyprobowanego i zaufanego człowieka, i nagrodziłaś wierne usługi.« — »Powiedzże mi, jak ci to na myśl przyjść mogło!« — »Ja sam niewiem! ja niewiem, ale jeżeli pani nieprzyjmiesz ofiary, ja —« — »Tylko mnie niestrasz

Bałabanosiu.« — »Ja jutro zdaję rachunki i idę —« — »Dajże pokój! wszakci to tego tak obcesowo robić niemożna! Ja się muszę namyślić, ja muszę to rozważyć! Prawdziwie! ktoby się to był spodziewał!« — To mówiąc siadła pomieszana podkomorzyna, a plenipotent uczuł, że w niego duch wstępował i już dobrze wróżył sobie, pierwsze lody były złamane, zostawało rozumnie rzecz doprowadzić do końca. Ale to go nieprzestraszało, znał on dobrze swoją panią i wiedział, że gdy jéj da do wyboru pójść za niego, lub całkiém go porzucić, pewnie na pierwsze się zgodzi.

Tak tego wieczora przygotowawszy ją, następnych Bałabanowicz przywiódł ją do dania sobie słowa, wystawił jéj konieczność uczynienia sobie zapisów, wzajemnie dla oka, na krociach kradzionych, ułożył dożywocie i potajemnie wszystko gotował do ślubu. Wkrótce z indultem w kieszeni, jednego wieczora zaczął naglić podkomorzynę o wyznaczenie szczęśliwego końca swoim konkurom i tak ją usidlił, że zezwoliła na niezwłoczny ślub, który się odbył w sali, przy dwóch tylko zaufanych świadkach. Nazajutrz całe sąsiedztwo wiedziało niesłychaną nowinę, rozwożono ją umyślnymi posłańcami od domu do domu, przyjaciele podkomorzego byli w nieopisaném oburzeniu na zuchwalca, inni śmiali się do rozpuku z nowego stadła, inni wyciągali dziwaczne wnioski, zabijając podkomorzynę na sławie, inni jeszcze temu niewierzyli. — Trudno wszakże było wątpić, bo Bałabanowicz zmieniwszy nagle ton i sposób postępowania, ze sługi stał się panem, wniósł się do pałacu, i zaczął się jak szara gęś rządzić.

Wnet Złota-Wola inną całkiém powierzchowność przybrała, a ex-podkomorzyna postrzegła wkrótce, że wielkie zrobiła głupstwo. Ale już było po czasie. Bałabanowicz zebrawszy wszystkie klucze do swojéj kieszeni, pół dnia pijany, nawet do maryasza swojéj dobrodziéjce służyć już niechciał. Porzuciwszy possessyą, swoje konie, stada i remanenta przeniósł do nowego mieszkania; i jak gdyby jéj na świecie niebyło, zapomniał o żonie, która myślała, że się świat do góry nogami przewrócił, gdy nagle znalazła się tak małą, postradawszy swobodę i wszelakie znaczenie w domu.

O moralności dla kobiet.

Przez K. z T. H. — *(Ciąg dalszy.)*

To zdanie tyle szczytne i unoszące, stwierdzone jest przez rozum i doświadczenie. Któreż bowiem dobro dla wszystkich jest tak dostępne, tak podobne do nabycia i tyle cenione? Gdzież jest człowiek, któryby niemógł być cnotliwym, skoroby miał chęć szczerą ku temu? Dla jakiegożto innego dobra ludzie od początku więcéj ofiar składają, któreż w ogólności szacowane jest wyżéj? Wieluż to dla dogodzenia cnocie do ubóstwa przychodzi i mówi z prostotą: »Miałżebym tyle być podłym, abym majątek nad szczęście przełożył?« Jakaż matka prawdziwa mając do wyboru dla ukochanego syna życie haniebne, lub śmierć cnotliwą, niewybierze śmierci? Któż z nas nie woli być niewinną ofiarą, niż zbrodniczym tyranem, choćby ofiara w kajdanach jęczała, a tyran opływał w roskoszach? Jakiegożto nareszcie innego dobra owoce i korzyści samą śmierć przetrwają, i tak jak dusza człowieka nieśmiertelne będą? — A przeto choćby nam świat stawiał sidła swoje i inaczéj rzeczy malował, choćby ciężar własnéj, a może prędzéj jeszcze cudzéj niedoli chwiał w nas owo odwieczne zdanie: że cnota sama jedna szczęście dać może, my stójmy przy niém stale, niech się z wiarą naszą zespoli i zjednoczy; niech prawdy jego życie nasze dowiedzie!

Atoli zrozumieć się nam tu potrzeba.

Szczęście, jak wiemy, jest to dobro najwyższe, stan błogi i zupełny, który nic do życzenia niezostawia; zatém, ktoby sobie wystawił, że cnota już na téj ziemi da mu szczęście takowe, zapomniałby chyba, czém jest to życie i czém jest człowiek, dopóki dusza jego, tchnienie boskie, ciałem, zwierzęcą powłoką jest osłoniona. — Jak doskonałości tu niema tylko cień jéj, ale jest gdzieś wyżéj i gonić za nią nam przykazano; tak i szczęścia zupełnego niema na téj ziemi, tylko jest u Boga; nam iść ku niemu wolno, a drogi innéj niema nad cnotę. Szczęście zupełne jest dla nas w podobieństwie, jak ukochana osoba w oddaleniu; idziemy do niéj radośni pewną nadzieją, że ją zobaczymy; takim pochodem do szczęścia jest życie cnotliwe, a chwilą powitania — śmierć.

Nic tedy pewniejszego, i na to dobrze się przygotować i mocno obwarować potrzeba; cnota choćby najwyższa, najstalsza, nieochroni bynajmniéj od tego, co ludzie pospolicie nieszczęściem zowią, a coby niedolą, niepomyślnością zwać tylko należało, bo sam występek jest nieszczęściem. — Człowiek cnotliwy narażony jest zarówno z każdym innym, na zmiany losu, na choroby, potwarz, prześladowanie, na straty dotkliwe; ale on ma najpewniejsze, najobfitsze zapasy ratunku, cierpliwości, pociechy, nadziei; on ma w samym sobie rękojmią owego szczęścia prawdziwego, do którego dąży, którego przedsmaku już używa w czystém sumieniu i w pokoju duszy.

Prócz tego — jakkolwiek ten sposób myślenia, wyższe i doskonalsze umysły poziomym znaleźć bę-

dą mogły — ja w prostocie mojéj wystawić sobie nieumiem, ażeby nam żyjącym na tym doczesnym świecie i zwierzęcą powłoką odzianym nakazano było żyć jedynie duchowém życiem. Zdaje mi się, że sam Bóg tego od nas niewymaga. Niestworzył nas aniołami, tylko ludźmi; niepowołał nas od razu do siebie, ale ukrył ducha nieśmiertelnego pod cielesną zasłoną, i kazał nam tak iść do siebie przez to życie. Nietylko więc możemy ale powinniśmy opatrywać się w to wszystko, co tak ciału jak duszy naszéj ową pielgrzymkę często trudną i przykrą ułatwić i umilić może; a kiedy, jak ktoś powiedział: »dusza i ciało, to jeździec i koń zespoleni« pierwszeństwo dając jeźdźcowi, należy nam czuwać nad obojgiem, ażeby mety dobiegli swobodnie, przeszkody pomyślnie zwalczyli, ażeby zmęczone zwierzę niepadło w drodze, ani też rozhukane nieuniosło jeźdźca.

Zdaniem więc mojém, nietylko jest wolno, ale powinnością nawet jest naszą względem siebie, zabezpieczyć sobie to wszystko, co szczęście, jakiego tu na téj ziemi używać można godziwie, sprawić i powiększyć zdoła. Co nawet powiem, im więcéj jest znaną miłość nasza ku cnocie i nasze usiłowania ku doskonaleniu się, tém pilniejsze powinny być starania, nietylko w pozyskaniu wewnętrznego szczęścia przed Bogiem, ale nawet w ozdobieniu się przed ludźmi, jakby szatą jego: ową barwą czystéj radości, lubego pokoju, któreby zachęcały do naśladowania nas, któreby przekonywały najmniéj moralnych ludzi: iż całe szczęście, jakiego tu na téj ziemi kosztować można, zagarnęła cnota. — Takiego będąc przekonania, spodziewam się, że mnie nikt nieposądzi o zbyt ludzkie i błahe widoki, jeżeli odtąd całą usilność moją zwrócę do okazania i ułatwienia w tych uwagach różnych środków ku nabyciu szczęścia. — Ja niechcę ani oschłéj oziębłości, która zawsze spokojna, bo nic nieczuje, ani owéj płochéj lekkości, która wesoła, bo nic niezgłębia; niechcę upodobania w tém życiu kosztem drugiego; ale radabym dowieść, że prócz wielkich i świętych obietnic wiary, prócz tego, iż każda z nas winna dopełniać powinności swoich dla zadosyćuczynienia Bogu i ludziom, w zamiłowaniu i w wypełnieniu moralności, w cnocie trwać i postępować nam trzeba, nawet dla ziemskiego szczęścia, bo inaczéj według słów Piotra apostoła »niezamiłujemy żywota tego, niebędziemy oglądać dni dobrych.« Będę więc roztrząsać z kolei, a raczéj jak mi się nasuną ważne i mniéj ważne szczegóły, które do uszczęśliwienia nas samych posłużyć mogą; i przekonana jestem, że im więcéj wewnątrz i zewnątrz zbogacimy się szczęściem, tém więcéj ceny nabiorą cnoty nasze nietylko przed ludźmi, ale i przed Bogiem; gdyż Bóg jako ojciec mile spoglądać musi na dziecię, które z uprzejmą wdzięcznością dary jego przyjmuje, w korzyść je obraca, znosi bez szemrania proby i kary, a nagrody w pokoju i radości używa.

POEZYA.

Parobczak.

Oj, niezazdroszczę ci Janie,
Żeś wziął dziewczę jak jagodę,
A z dziewczęciem jeszcze w wianie
Czworo wołków i gospodę.

Boć z kobieckiem bieda swięta,
Jak tam gadka gwarzy stara:
I kłopoty i lamenta,
Doma dziatwy co niemiara.

Niemasz to, jak chłopiec młody,
Gdy swobodne goni lata:
Raźny z serca i z urody,
I dla Boga i dla świata.

Niemamć chaty, ni mi plony
Liczne sypie pól rząd długi;
Tylko na len dwa zagony,
I drobniutkie doń zasługi.

Ale milszym pokój w duszy,
Zawsze rześki i wesoły;
Bieda głowy mi niesuszy,
Zawszem szczęśliw — chociaż goły.

Wzdyć jest przywdziać w co się jeszcze,
Gdy w niedziólkę brząknie grajek,
I do karczmy, het po ścieszce,
Dziewcząt zleci się, by czajek.

Jest sukmana z pętlicami,
Czapka z wstążką krasną siwa
Złotkiem z ucha lśni piórami,
W kiesce grajkom trzy grosiwa.

Tak gdy wskażę się dziewczętom,
Już k'mnie wszystkich oczka świecą:
Ta się pręży, téj z ponętą
Liczka różą się roznniecą.

Ja pozdrawiam gospodarzy,
Kumkom, braciom rękę ścisnę,
Aż kwaterek wleje Błaży;
Nuż ognistą w serce trysnę.

Zaraz raźniéj i weseléj:
Gracze już téż rzną od ucha;
Hej! do krasnéj skoczę śmieléj,
Dziewczę się odśmiechnie — słucha.

Więc od przodku utniem żwawo,
Aż pot strugą z czół poleje;
Daléj Wasiu! a zuchawo,
Zanim w oczach pociemnieje.

Czasem też podkusi licho,
Że człek sobie i podpije;
Aż tu dworus, by paw pychą
Wzdęty w oczy się nawije.

I nuż wodzić rej nad nami,
Słowy huczy zelżywemi; —
Zaraz w żyłach krew zawra mi,
Prysnę wzajem — swar gotowy.

Z zwady przyjdzie do wybitki,
Wysforujem het panoszka —
Lecz na czole siniec brzydki
I krew pokapuje z troszka.

Z trzeźwa człek się pomiarkuje,
Krzywda ludzka serce tłoczy;
Lecz choć za grzech i żałuje,
Chmurny ciągle, nie ochoczy.

Więc do Boga: ksiądz wysłucha,
Na spowiedzi złaje, zgada,
Zmiękczy serce, skruszy ducha,
I pokutę długą zada.

I znów lekko tak na duszy,
Jakbym nowo się narodził;
Bies występek szepnął w uszy,
Chleb zeń pański wyswobodził!...

A. B.

MODY. — Paryż, dnia 14. Września 1840. — Teraz zaczynają więcéj nosić jedwabie, niż białe bławaty. Poux de soie, szkocka kitajka, wełniane muśliny przed czasem zwyczajnym się ukazały.

W białym kolorze utrzymały się tylko canezou. Pięknie wygląda canezou na szlafroczku z zielonéj mory.

Szarfy z białego, damaskowanego fulardu, kończące się w długie zielone fręzle, nazwać można także nowością. Równie dobrze wyglądają ciemnoniebieskie szarfy na białych sukniach, a na kolorowych mantyle z białego muślinu, orzucone koronkami.

Szarfy z białego gładkiego lub haftowanego muślinu, oszyte koronkami, uważają za stósowne dla Dam młodych.

Robią też suknie z tureckiego muślinu w kaszemirowe pasy, haftowane rzęsisto czerwonym jedwabiem i złotem. Zamiast przepaski sznur jedwabny ze złotem. W środku otwarty stanik, z pod niego widać drugi atłasowy biały.

Widzieliśmy już wiele jesiennych kapotek; wyrabiają je z kitajki szaréj z niebieskiemi kwiatami, lub w kolorze cytrynowym z kwiatami czerwonowiśniowemi. Szare, niebieskie, zielone i różowe są piękne kolory na czas przechodni.

Kapelusze na tył ramion owieszone zupełnie wyszły z mody, dziś dziwią się, jak można było tak małe nosić i tak przesadzać.

Noszą szlafroczki grosdenaplowe w pasy. Stanik w tyle jest gładki, z przodu od ramion do przepaski w fałdy ułożony. Powłoka nadzwyczaj obszerna i długa, z przodu otwiera się; obie te części suto są oszyte w duże zęby z téj saméj tkaniny, z pod nich u dołu samego widać suknię organtynową o jednéj falbanie. U dołu i u góry rękawów jest podobny lecz mniejszy garnitur w zęby wycinany. Kibić ujęta jest w przepaskę wstążkową koloru sukni.

W ten sam sposób noszą szlafroczki z białego muślinu oszyte w tulowe ząbki, a jeszcze piękniéj zdobi na brzegach haft szeroki, szyty pstrą lub zieloną wełną, a czasem i białą. Do téj toalety, jeżeli jest w białym kolorze, biorą szkockie lub przerabiane wstążki. Stósują się one do koloru kapelusza lub szarfy.

Jeżeli te szlafroczki są muślinowe, natenczas osadzają stanik u góry tulem w ząbki lub koronką, w kształt kołnierzyka; do jedwabnych zaś szlafroczków noszą wywiniętą chusteczkę, któréj końce aż do przepaski dochodzą.

Co do sukien, to jest jedyną w téj chwili nowością; staniki zaś częścią są gładkie w kształt serca, ściągane i układane w fałdy. U rękawów zachowują wszelkie rozmiary, począwszy od zupełnie obcisłych, do buchastych i powiewnych.

W składach tkanin modnych znajdziemy takie bławaty, które naszym prababkom się podobały, obok najnowszych. Pekin kwiecisty obok słupowego, słupy te zaś owite są gałązkami zielonemi; przerabiane wodniste tkaniny obok cętkowanych bareżów, rahel-atłasów i krep zwanych mazagran.

Objaśnienie ryciny.

1. Kapelusz z poux de soie, zdobny kłosami. Suknia jedwabna, strojna dwiema falbanami, oszytemi koronką. Stanik bluzowy, obszerne rękawy, u góry gładkie. Szarfa muślinowa.
2. Włoski kapelusz słomkowy z słaniającém się piórem i kwiatami pod obwodem. Suknia z tarlatanu, kolorowo haftowana. Spencerek aksamitny z kołnierzem na ramieniu wywiniętym, złotemi guzikami osadzony. Rękawy obcisłe. Półkoszulcze oszyte koronką.
3. Kapelusz jak u 2. Suknia jedwabna bez osady. Szarfa z białego kaszemiru, brzegi kolorowo haftowane i osadzone długą fręzlą.
4. Ubiór męzki Surdut z sukna w drobny rzucik, z świecącemi guzikami i szalowym kołnierzem. Pantalony obcisłe. Kamizelka jasno-kolorowa, w kwiateczki. Krawat czarny.

Redaktor: *N. Kamieński.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*



L. Brückner sc.

38.